

Nowiny

TYGODNIA

Tygodniowy dodatek „Nowin Rzeszowskich”

W numerze:

Ignacy Wirski — Czerwona ziemia (powieść)

Tadeusz Stanisław — Szlakiem walk chłopskich

Franciszek Grabowski — Rzemiosło i rękodzielnicтво na ziemi rzeszowskiej

Stanisława Dubyk — Kadry

Nasze omloty



Liceum Ogólnokształcące Męskie w Rzeszowie przy ul. 3 Maja obchodzi w roku bieżącym 300-lecie swego istnienia. Na zdjęciu westybul gmnazjum z roku 1926

Wsparłszy się ciężko o dębowy stół przy migotliwym blasku kaganka, czytał już nie wiedząc który to raz pergamin, królewska opatrzone pismo.

Miłe mu były słowa królewskiego pisma. Dumie pochlebiały rycerskiej i nagradzały trudy wielu lat, wojen, pochodów, pościgów za tatarskimi watahami, hen aż za San i Dniestr. Pergamin królewski czynił wiadomym w całej Polsce, że jemu, rycerzowi Janowi Pakosławowi i jego potomkom nadane zostaje miasto Rzechów przez króla Kazimierza, syna Łokietkowego... „za zasługi w wojnie z Tatarami”.

Rzechów, alias Rzeszów, jak go poniekąd nazywać począł. Ludna, bogata osada — rozmyśla stary rycerz. Pożytków z niej będzie wiele, choć król Kazimierz udzielił jednocześnie „miastu wolności na prawie magdeburskim”, co mieszczanom swobody różne przynosiło i jego, nowego ich pana wolę i samowolę ograniczało.

Nie myślał zapewne ów kłodziej Rzech, o którym podania wspomina, a który kilkadziesiąt lat temu drewnianą sochą orał ziemię nad Wisłokiem, że imię jego da nazwę jednej ze sławniejszych i znaczących osad w Rzeczypospolitej i że ta osada przypadnie w udziale jemu, Janowi Pakosławowi.

Widzi stary rycerz oczyma wyobraźni ciągi wozów kupieckich, ładownych beczkami winą węgierskiego, dojrzewającego siodłaczka na słonecznych równinach Panonii, widzi, jak traktem „węgierskim” od Dukielskiej Przełczy przez puszcze karpacką przesuwały się powoli ku dolinie Wisłoka, by w Rzechowie odpoczynek i skład znaleźć bezpieczny. Od niepamiętnych czasów bogaci się miasto, położone na skrzyżowaniu dróg, wiodących od Śląska i Krakowa, od Sandomierza na Węgry i Ruś. I gdyby nie Tatarzy...

Na samo wspomnienie ruchliwych, lotnych, nieuchwytnych a chciwych na życie ludzi i mienie czambułów tatarskich, zaciska stary wojownik rękę na rękojeści miecza. Od czasów, kiedy Batorywie hordy po raz pierwszy napoiły konie wodą Sanu i Wisłoka, nikt nie był pewny w tych stronach życia i mienia, a co najmniej spokojnej starości. Ileż to razy siodłać trzeba było konie, ostrzyć broń, iść w dalekie pochody, by spędzić z ziemie rzeszowskiej pustoszące osady i wsie watahy tatarskie. Walczyli z nimi dzielnie książęta i mieszkańcy Rusi Czerwonej; bronili swych miast mieszkańcy Przemyśla, Czerwieńska, Jarosławia. Zagra-

JAK RZESZÓW Z »DIABŁEM« I TATARAMI WOJOWAŁ

o „przygodach” sześćsetletniego miasta

L. RUBACH

dziali Tatarom drogę do Polski, alicy przemykały się horory dżicy nieposkromionej pod miami warownych grodów i pań na zachód nad Wisłę i Wisłokę. Ewy czerwone oświecały noce, a łaz ludzki płoszył zwierzyne lęcha. Miewają przygody nie tylko pojedynczy ludzie. Liczne, fascynujące, różnorodne przygody przeżywają również osady i miasta. Niejednokrotnie lektura starych kronik miejskich zastąpić może rozczytywanie się w najbardziej atrakcyjnej powieści. Podróż poprzez stulecia na stronach pozłokłych ksiąg może być niemiernie barwna, zaskakująca wyobraźnię, niż wyprawa w głąb dalekich łądów lub na dno oceanów. Z suchych (nie zawsze) notatek niejednokrotnie bezimiennych kronikarzy wylania się bujne, bogate życie, napływają „powrotną falą” umarłe stulecia, pełne zgiełku ludzkich praw.

Kroniki Rzeszowa należą nie wątpliwie do najbardziej pasjonującej lektury. Choćby dlatego, że Tatarzy, grasujący przez kilka wieków nad wschodnimi granicami Polski, nieraz miasto najeżdżali, nigdy nie poskromieni przez słabą warchoistwem „jasniepanów” Rzeszopolitą szlachecką.

Jeszcze w trzy wieki prawie po śmierci Jana Pakosława, w 1624 roku, zapędził się pod Rzeszów aż z Wołoszczyzny czambuł tatarski, liczący 30 tysięcy koni. Dowodził nim okrutny, ale śmiały wojownik, Kantymir Murza. Pochód czambułu oświecały pożary wsi i osad, których mieszkańcom: chłopów zagrodników, rzemieślników, Tatarzy mordowali lub w jasyr uprowadzali. Kantymir Murza obległ Rzeszów, ale zdobyć miasta nie mógł. Bronili się zaciekle przerażeni o swe rodziny i majątności mieszczanie, bronili miasta piechota i pan kasztelan, Michał Szytko Ligęza, w której służyli pańszczyźniany chłopcy z nadwisłockich wsi. Po odparciu Kantymira Murzy skarżył się kasztelan w uniwersale, wystanym do królewskiego grodu Biecha... „Tatarzy mnie wszystkie wsie popalili, kościół i dwory w popiół obrócili...” Echa tych licznych najazdów tatarskich rozbrzmiewają do dziś w legendach i podaniach ludowych, związanych z poszczególnymi miejscowościami.

Lecz prawdą historyczną jest, że drogę do Rzeszowa wielokrotnie czambułowi tatarskiemu mężnie zagradzali chłopcy, jak o tym przypomina we

wsii Nowosielce pod Przeworskiem kopiec, usypany ku czci chłopca, Michała Pyrza. Był on wójtem tej wsi. Gdy w 1624 roku Tatarzy wtargnęli w jego rodzinne strony, bohaterski chłop zorganizował obronę wsi. A był to ten sam czambuł Kantymira Murzy. Przez 5 dni (od 9 do 13 czerwca) w oparciu o miejscowy obronny kościół o grubych murach i oknach — strażnicach, chłopcy nowosielscy tak się dzielnie bronili, że Tatarzy nie mogli wskorali. Ponieśli ciężkie straty i od obłężenia wsi odstąpili.

Nie tylko Tatarzy byli utrapieniem Rzeszowa i całej ziemi rzeszowskiej i nie tylko z nimi musieli walczyć jej mieszkańcy...

W drugiej połowie XVI wieku właścicielem Łańcuta był osławiony na całą Polskę warchol, Stanisław Stadnicki, który do historii przeszedł z niesławnym przydomkiem „diabła łańcutkiego”. Był to jeden z najsławniejszych okrutników w owej epoce, nie słynący wcale z łagodności obyczajów. Chłopów, swoich poddanych, gnębił niemilosierdzie, wyzyskiując ich bezwzględnie. Lecz nie tylko chłopów... Stadnicki kazał postawić w Łańcutcie, położonym na wysokim wzgórzu górującym nad okolicą, wysoką wieżę obserwacyjną, z której wpatrywał okolice. Za przejazd przez drogę i mosty ścinał bezprawnie wysokie moki i opłaty drogowe. Grabił kupców i nieustannie wojował z sąsiedzi, napadając na dwory szlacheckie i miasta. Rzeszów prowadził z nim kilkuletnia „wojna”, gdyż „diabeł” gwałcił najważniejszych w owych czasach miejski przywilej — prawo urządzania jarmarków. Nie każde miasto posiadało takie prawo, będące źródłem poważnych dochodów. Jarmarki rzeszowskie, po jarmarkach w Jarosławiu, słynnych na całą Europę, należały do najbardziej atrakcyjnych. Rzeszów miał prawo „składu wina i towarów zagranicznych”. Chciwy Stadnicki, który nie uznawał niczych praw, a tym bardziej przywilejów mieszczan, najeżdżał kupców, spiesząc na rzeszowskie jarmarki. Rzeszów wstąpił w obronę swych uprawnień. Rozgorzała pięcioletnia wojna, której kres położyła klęska, jaka zadał „diablowi” z Łańcuta ówczesny posiadacz Rzeszowa, wspomniany już Mikołaj Szytko Ligęza.

Epizod pięcioletniej wojny z „diabłem łańcutkim”, zanotowany przez kroniki Rzeszowa, jest jednym z licznych faktów samowoli szlacheckiej, tłuma-

czących upadek miast polskich w XVII wieku.

Inny historyczny epizod, równie przez kroniki Rzeszowa zanotowany, który mógłby być tematem sensacyjnej powieści historycznej lub atrakcyjnego dramatu scenicznego, niemiernie wyraźnie oświeła przyczynę upadku Polski szlacheckiej. Na początku XVII wieku dobra rzeszowskie znajdowały się w rękach Andrzeja Ligęzy, właściciela Dietuszwarki (obecnie Buczwała) i jego stryja, dwukrotnie już wspomnianego kasztelana Mikołaja, który posiadał Rzeszów. Andrzej Ligęza uznał, że przy podziale majątków rodowych został przez wpływowego stryja oszukany. Aby więc krzywdę swą powetować, gdy kasztelan był nieobecny na zamku rzeszowskim, najeżdżał miasto, złupił zamek i zabrał strywiowi bardzo przez niego strzeżoną, wspaniałą rezbioną skrzynię, w której kasztelan przechowywał drogotętności i 2 tysiące złotych talarów. Gdy się o tym nieczym postępku bratanka kasztelan dowiedział, uznał go za „gorszego od Tatarzy” i z kolei napadł na niego pod Staroniwą. Mściwy Andrzej Ligęza nie darował Mikołajowi Ligęzie i ponownie napadł na Rzeszów. Krwawy spór przenosił się wreszcie przed sąd ziemski do Przeworska. Każda ze stron zawiązała się przed sędzią... z tysiącem zbrojnych. Nie wiedzieli, że przerażeni sędziowie iak sędzieli tych wielmożów, występujących ze zbrojnymi pułkami. Długo jeszcze trwał spór między wielkopanami Ligęzami. Cierniała na tym przede wszystkim ludność chłopska ciężko na nich pracująca. A jak to w Rzeczypospolitej szlacheckiej dbano o nią dowodził tego chyba najlepiej wzdobty z archiwów rzeszowskich uniwersał, wydany w 1743 r. przez ówczesnego właściciela Rzeszowa, księcia „Świętego Państwa Rzymskiego, hrabięgo na Wisnicz, Jarosławiu i Rzeszowie, Jerzego Ignacego Lubomirskiego”.

Ze starego dokumentu smutnej epoki czytamy:

...wiadomo czy nie komu o tym należy i będzie należało wiedzieć, a osobliwie IMGi Panu Komisarzowi Generalnemu dóbr moich dziedzicznych jurysdyccyjom, tudzież miasta rezydencyalnemu Memu Rzeszowskiemu i innym Miasteczkom i wsiom dziedzicznym, im powiadamiam, że w mieście Rzeszowie, ale też po innych miasteczkach i wsiach dziedzicznych, Poddani wzięli sobie za zwyczaj, bez odpowiedzi i po-

zwolenia dworskiego — synów swoich do szkół dawać, którzy — osobliwie zaś wieśniacy — nauki czytać się czytają, pisać, rachować itd. a dopiero łaciny, wychodzą z poddaństwa, przez co tymże samym poddanym niemały uszczerbek, bo na szkoły swoim synom nakładając, niszczą się i do ubóstwa przychożą, surowo przykazuję wszystkim Poddanym, ażeby od tego rocznych wakacyj nie wazyli się bez wyraźnego ode mnie iu piśmie danego i ręką moją stwierdzonego consensa synów swoich do żadnych szkół gdziekolwiek się znajdujących na naki dawać, posyłać ani puszcząć, a to pod surową i niedopuszczalną na każdego obywatela i poddanego karą, takowych zaś studentów i dóbr moich zbiegów łapaniem i sekwestrowaniem jeżeliby się który znalazł refragariusz tej mojej raz na zawsze postanowionej dyspozycji serio zalecając i przykazując Ich IMCiom Komisarzowi Generalnemu i Gubernatorowi Rzeszowskiemu tu dzież innym po wsiach i wszyskich dobrach moich dziedicz-

nym Ekonomom, Administracjom, Podstarościom et quocumque titulo nazwanym Rząd com...”

„Takie były zwyczaje, prawa w one lata” upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej, która dzieci chłopów, robotników, rzemieślników, skazywała na ciemność i nieuczność.

Wiele, o wiele więcej niż przypomniał mi, opowiedzieć mogą pozłokłe kroniki sześćsetletniego Rzeszowa. Kto ciekaw jest tych staruch powieści, niech nie boi się trudów podróży. Rzeszów powita go ciekawymi pamiętkami przeszłości, piękną panoramą doliny Wisłoka, płynącej u stóp wzniesień Pogorza Karpackiego, którą zachęta dalekich wpraw turystycznych. Powita rytmem wspomnień rozbudowy nowych przemysłowych dzielnic, a w nich gmachami szkół, w których uczyć się potomkowie tych, którym ks. Lubomirski uczyć się zabraniał. W Muzeum Rzeszowskim skrzętnie pracowników naukowych gromadzą ciekawe zbiory pamiatek najdawniejszej nawet przeszłości — materialne ulamki spraw i zdarzeń, z których snuje watek wspomnień o tym, co się kiedyś działo, o przwodach całych ludzkich pokoleń.

LUDOMIR RUBACH

Jeszcze w sprawie zadań historyków rzeszowskich

Nawiązując do artykułu ob. Franciszka Błońskiego pt. „Zadania historyków rzeszowskich”, zamieszczonego w „Nowinach Tygodnia” w dniu 27. III. 1954 r. chciałem jeszcze raz podkreślić konieczność zainteresowania się historią ziem obecnego województwa rzeszowskiego a nawet całej Małopolski. Historia Małopolski była celowo przez historiografię burżuazyjną pomijana, a tylko nieliczni historycy interesowali się nią nie pozostawiając jednakże w spuściznie naukowej pełnego obrazu historycznego tej ziemi. Zainteresowanie Małopolską wra sta dopiero w ostatnich latach powojennych, którego wynikiem jest parę cennych prac takich profesorów jak Kieniewicz, Wyki i Tyrowicz.

Ostatnio w Krakowie odbyła się konferencja naukowa, zwołana przez Instytut Historii PAN, na której omówiono wyniki prac badawczych, które pozwolą opracować zbiorowo monografię wsi małopolskiej.

Właśnie wyżej poruszone prace poważnych historyków, oraz możliwość na polu naukowym, jakie stwarza Polska Ludowa, powinny tym

bardziej wzbudzić zainteresowanie wśród historyków rzeszowskich i stać się pobudką do przyspieszenia zorganizowania w Rzeszowie oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego, które skupiłoby wszystkich historyków zarówno z samego Rzeszowa jak i z całego województwa. Wydaje się, że pole do popisu jest dosyć obszerne. Przecież szereg miast w rzeszowskim, które niejednokrotnie odegrały niepoślednią rolę w historii Państwa Polskiego czeka na monografię. Wprawdzie niektóre z nich mają opracowania ale są one przestarzałe i niepełne.

Monografie takie przyczyniłyby się do wyjaśnienia szeregu zjawisk historycznych zarówno społeczno-gospodarczych jak i politycznych. Należy sądzić, że w opracowaniu materiału monograficznego można dać pełny i prawdziwy obraz dziejów naszego państwa. Chcąc jednak sprostać powyższemu zadaniu, badania należy oprzeć na pracy kolektywnej, którą w dużej mierze ułatwiłoby powstanie Polskiego Towarzystwa Historycznego w Rzeszowie.

TADEUSZ SŁAWSKI

Tadeusz Stanisław

Szlakiem walk chłopskich

(Nowa książka Józefa Gójskiego)

Józef Gójski jest znany historykiem — publicystą, zorientowanym dobrze z zagadnieniami związanych z okresem rewolucyjnych walk chłopskich w latach 1932—37. Jest specjalistą w tych sprawach i poświęcił im już parę broszur, wyszukując coraz to nowe źródła i dokumenty z tych czasów.

Wiadomo powszechnie, że największe nasilenie miały ruchy chłopskie w przedludniowych, w nędzy żyjących powiatach dzisiejszego województwa rzeszowskiego (Brzozów, Dębica, Jarosław, Lesko, Łańcut, Przeworsk, Rzeszów, Tarnobrzeg).

„Nigdy niezapomniane pozostaną wielkie walki robotników i chłopów pod przewodnictwem KPP i przy współdziałaniu radykalnych organizacji chłopskich — walki z faszystowską dyktaturą sanacji, sławne bitwy pod Łapanowem, Leskiem, Ropczycami, Jadowem itd.” — mówił towarzysz Blerut w sprawozdaniu, wygłoszonym na II Zjeździe Partii.

Toteż z zaciekawieniem śledzimy do niedawno wydanej książki Gójskiego, pod tytułem — „Szlakiem walk chłopskich”.

Z wyjątkiem ostatniego rozdziału poświęconego manifestacjom w Raclawicach i Kaslnoc Małej, reszta, tj. 7 rozdziałów — to wędrówka po wsłach i miasteczkach Rzeszowszczyzny, pamiętnych w latach 1932—37.

Lesko, Kozodrza, Grodzisko, Krzeczowice, Majdan Sienawski i szereg innych miejscowości przesuwa się, jak w kalejdoskopie, przed oczyma czytelnika. Szybko przenosimy się z miejsca na miejsce.

Czym różni się broszura Gójskiego od jego poprzednich książek na ten sam temat? I co wnoszą nowego?

Otóż chodzi tutaj nie tyle o przypomnienie raz jeszcze przebiegu manifestacji i walk chłopskich w omawianym okresie. To byłoby już za ma-

ło w intencji autora i w oczekiwaniach czytelnika.

Chodzi natomiast o porównanie minionych lat głodu i nędzy ze stanem dzisiejszym na tle tych samych miejscowości, gdzie przed 20 czy 17 laty rozgrywały się pamiętne wypadki. Autor rozmawia po tych wsłach i miasteczkach z ludźmi, pamiętającymi niedawną przeszłość, najczęściej z uczestnikami dramatycznych walk. Rozmawia i wysnuwa wnioski, jasne dla każdego, kto chce i umie obserwować.

A sens tych wniosków? To dostrzeżenie olbrzymich przemian, jakie dokonały się na wsi rzeszowskiej w okresie istnienia władzy ludowej. To wzrost szkolnictwa i różnych form oświaty, to wzrost zatrudnienia w rozwijającym się rzemiośle, to rozszerzenie perspektyw i możliwości, jakie stają przed młodzieżą wiejską, jakże różne od sytuacji przed 20 czy 16 laty.

Sprawy to może znane i nie po raz pierwszy przez Gójskiego naświetlone. Ale ukazanie przemian na konkretnych przykładach ludzi i miejscowości ma swoją głęboką wymowę i siłę argumentacji.

Trzeba jednakże stwierdzić, że autor, ulegając po trosze zwłocz historyka, często uzupełnia dotychczasowe swoje badania nowymi relacjami świadków i innymi przyczynkami. Zmienia to nieco proporcje i mniej zostawia miejsca na sprawy dzisiejszej doby.

Dużą zaletą książki są dość liczne rozstrzygnięcia w tekście fotografie, na ogół wyraźne i starannie wykonane. Są to zdjęcia dawne, przedstawiające fragmenty manifestacji chłopskich w różnych miejscowościach. Jak i zdjęcia współczesne.

Broszura ma formę reportażu. Czy jest to reportaż literacki? Chyba nie i autor opisując swe rozmowy w sze regu miejscowości, nie ma zapewne takich ambicji literackich. Raczej spotykamy się tu z językiem publicysty.

Do usterek książkę zalicyć należy niedbała korekta, a może tylko niedwładne pomyłki autora, dotyczący brzmienia nazwisk i nazw

miejscowości. Czytelnik z innego województwa zapewne nie zwróci na to uwagi, ale poseł Tomaka zdziwi się zapewne, gdy z Jasienki koło Trzebowniska zrobiła się parokrotnie Jesienka. Uczniowie szkół średnich z Ropczyc uczeszą się, gdy zobaczą swych nauczycieli i kolegów na tle warsztatów szkolnych, ale dyrektor Christoff, nauczyciele Burowski i Viscardi (znany racjonalizator) mogą nie być zadowoleni z przekręcenia swych nazwisk. Przewodniczący spółdzielni produkcyjnej w Dębnie, pow. Łańcut nazywa się Stabłak, w powiecie przeworskim istnieją miejscowości Manasterz, a w leskim — Tarnawa. Publicysta nie może posługiwać się w reportażu fikcją, co w

pewnej mierze wolno zastoso-ować literatowi.

Błędy te i schematyczne ujęcie niektórych zagadnień obniżają w pewnym stopniu dokumentalną wartość tej cennej i pożytecznej broszury; należy to śmiało wytknąć. Niemniej jednak książka Gójskiego stanowi cenną dla nas pozycję i powinna znaleźć się w rękach działaczy i młodzieży wiejskiej, która coraz częściej z książek będzie dowiadywała się o różnicach między ustrojem kapitalistycznym i socjalistycznym.

I jeszcze jedno powita z uczuciem zadowolenia mieszkaniec naszego województwa: oto Ziemia Rzeszowska coraz częściej staje się przedmiotem zainteresowania pisarzy i publicystów.



Z wystawy prac Renato Guttuso w „Zachęcie” w Warszawie. Na zdjęciu: Żony górników z kopalni siarki.

CAF — fot. Kondracki

Kadry

Ja tu jestem wszystkim, mam klucze od Domu Kultury, jestem gościem gminnym, najważniejszą figurą we wsi, tłumaczył nam pijany do nieprzytomności jedyny człowiek, którego spotkaliśmy w Domu Kultury wsi Mokrzeszów w powiecie tarnobrzskim. Później dowiedzieliśmy się, że w miejscowym Domu Kultury było kilku kierowników. Zaden długo miejsca nie „zagrzebał”. Odchodził z różnych przyczyn. Najważniejszym powodem było to, że wysyłano tu ludzi bez odpowiedniego przygotowania, nie zastanawiając się czy dadzą oni sobie radę w pracy świetlicowej i z wszystkimi zadaniami, które stawia się obecnie przed ruchem świetlicowym.

W świetlicy gminnej w Siedliskach pow. Rzeszów od 1-go stycznia br. nie ma kierownika świetlicy. Mimo interwencji Wydziału Kultury Prezydium WRN podani kandydaci nie zostają zatwierdzeni przez Prezydium PRN w Rzeszowie. Pracownicy Wydziału Kadry Prezydium PRN tłumaczą, że nie mogą podanego kandydata zatwierdzić, ponieważ nie użył skali zgody podstawowej organizacji partyjnej gromady Siedliska. Po zbadaniu sprawy okazało się, że sprawę obsady kierownika świetlicy nie poruszano na żadnym zebraniu podstawowej organizacji partyjnej. Podobnych przykładów można mnożyć. Nasuwa się

wniosek, że nie wszystkie komitety powiatowe, jak i prezydium powiatowych rad narodowych doceniają rolę świetlic na wsi, a rolę tę spełni świetlica jedynie pod dobrą kierownictwem. Tymczasem przykłady dowodzą, że niektóre świetlice od dłuższego czasu pozabawione są kierownictwa.

Kierownik świetlicy wiejskiej, wiejskiego Domu Kultury — to odpowiedzialny pracownik polityczny i kulturalny. Od jego pracy, od jego postawy, autorytetu zależy czy świetlica pracuje dobrze i spełnia swoje zadanie. Dlatego też pracownikami aparatu kulturalno - oświatowego winni być ludzie o dużym wyrobieniu politycznym i poziomie kulturalnym, o wysokim poczuciu odpowiedzialności. Często dzieje się tak, że do pracy jej przyjmowani są ludzie, których zagadnienia kulturalne nigdy nie interesowały. Wystarczy, że mają ukończoną szkołę podstawową i przekroczyli 18 rok życia a komisja rekrutacyjna przy Prezydium WRN poprzez szkolenie kandydata tyje go na kierownika świetlicy, lub po kilkutygodniowej pracy w świetlicy wysłała go na kurs dla kierowników świetlic. Komisja nie zastanawia się jednak, czy ten człowiek nadaje się na to stanowisko. A w końcu absolwen-

tów tych kursów zwalnia się z pracy, bo okazuje się, że nie nadają się do pracy świetlicowej. Tę sytuację pogarsza jeszcze fakt, że nie zawsze kontroluje się pracę świetlic. Zarówno PRN, WRN jak i Komitet Powiatowy partii często opierają się na przesyłanych przez kierowników świetlic, sprawozdaniach nie zawsze zgodnych z faktycznym stanem.

Przy prezydiach rad narodowych są referencje socjalno-kulturalne. Zadaniem ich jest pomagać w pracy kierownikom świetlic, kontrolować ich pracę. W całym województwie rzeszowskim ludzie na tych stanowiskach wiedzą tylko, że są referentami socjalno-kulturalnymi. Zajmują się wszystkim, tylko nie sprawami kulturalnymi. W Ropczycach referent socjalno - kulturalny zajmuje się sprawami podatkowymi. W Sędziszowie referent nie orientuje się kto wchodzi w skład komisji oświatowej. Znowu referent kulturalno - oświatowy w Ustrzykach jest kierownikiem Domu Kultury, przewodniczącym ZP TPPR, przewodniczącym powiatowej komisji dla spraw odwołań w sprawach mieszkaniowych, prelegentem TWP, prelegentem KP, członkiem Komitetu Powiatowego Radiowęzła i zarazem spikerem. Nie podobna wymie-

nić wszystkich funkcji, które piastuje tow. Pelka, ponieważ jest ich aż 21. Można zaryzykować twierdzenie, że wszystkie swoje obowiązki spełnia tak, jak obowiązek referenta kulturalnego, tzn. robi wszystko i nic. Dobrze wypelnic po mierzonych mu obowiązkach po mimo najszczerszych chęci nie może, przerasta to możliwości normalnego człowieka. Czyżby towarzysz Pelka był niezastąpiony? Nad tym pytaniem winien zastanowić się Komitet Powiatowy partii i Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Ustrzykach.

Płynność kadr świetlicowych to też poważny czynnik hamujący pracę w świetlicach. Jak zapobiec płynności kadr? Jak ustabilizować kadry świetlicowe, aby właściwi ludzie znaleźli się na właściwych miejscach? Pytania te pozostaną tak długo bez odpowiedzi, jak długo kadry świetlicowe nie będą otoczone właściwą opieką. Opieką nie tylko zawodową, nie tylko polityczną, ale często także i opieką w sensie zaspokajania ich potrzeb bytowych. Tak długo dopóki nasi przewodniczący rad narodowych, sekretarze organizacji partyjnych nie zaczną doceniać pracy świetlicowej, nie zrozumieją, że kierownicy świetlic realizują wielkie i trudne zadania, stawiane przed społeczeństwem przez partię i rząd. S. Dudyk

Rozmaitości

ZEGAR ATOMOWY udało się skonstruować radzieckim uczonym. „Wahadłem” mierzącym czas są drgania cząsteczek atomiaku, wynoszące miliony na sekundę. Zegar taki jest tak dokładny, że na jedną do-bę spóźnia się najwyżej o jedną milionową część sekundy.

MARK TWAIN (1835—1910) znany amerykański humorysta (jego prawdziwe nazwisko brzmiało: Samuel Clemens) w latach 1904—1908 przebywał i tworzył swe arcydzieła w zabytkowym domu w Nowym Jorku. Dom ten ma ulec zburzeniu, gdyż się nie „opłaca”, a na jego miejscu stanie czynszowa kamienica.

ARABSKA MASZYNA DO PISANIA pisząca od prawej do lewej strony budowała niemiecka państwowa fabryka „Optima” w NRD. Maszyna ta będzie wystawiona na wystawie przemysłowej w Kairze w tym miesiącu.

AFERA WYŚCIGOWA. Przed sądem londyńskim rozgrywa się epilog oszukańczej historii wyścigowej z ub. roku. Kilku aferzystów zakupiło we Francji dwa konie wyścigowe. Jeden, „Santo Amaro”, znany ze swych zwycięstw w całej Europie, kosztował 2000 funtów. Drugi, „Francasal”, znacznie niższej klasy został nabyty za 820 funtów. Oba konie były do siebie idealnie podobne i nie do odróżnienia przez najlepszych koniarzy. Trik polegał na tym, że do jednego „Santo Amaro” puszczano pod nazwą konia słabego i obstawiano „Jako fuksa” co oszustom przyniosło „wygrane” w wysokości około 6000 funtów.

Rzemiosło i rękodzielnictwo na ziemi rzeszowskiej

(Dokończenie)



Piec płomienny albo trybowy do odciągania srebra od ołowiu.

kułski rzeźbił z początku XIX w. w pałacu łancuckim kilka pięknych drzwi. Wędzłowicz rzeźbił w połowie XIX w. drzwi w pałacu biskupa gr. kat. w Przemyślu; w ostatnim miejscu wyrabiał w 1-szej połowie XIX w. stolarz Szeliga śliczne stolarskie wyroby jak np. szafy, łózka, stoły itd., z wykładaniami z drzewa i stolarz Majewski wykonywał śliczne roboty stolarskie do katedry łacińskiej łancuckiej.

W aktach w 1542 r. miasta Warszawy znajdował się dokument, zawierający ugodę rajców miasta starej Warszawy z zegarmistrzem z Przemyśla Pawłem w sprawie wmontowania nowego zegara na ratuszu. Za dobre i dokładne wykonywanie roboty ręczyli dwaj bracia ślusarze warszawscy: Szymon i Jan Zetkowsky.

W Czudcu niejaki Gunic wicz, kowal dworski w kon- w początkach XIX w. zeg-

wieży o wielkich rozmiarach według własnego pomysłu na zamówienie miasta Kołaczyc. Zegar ten był cały zrobiony z żelaza kutego. Różne kółka miały złoczone zęby. Zegar nakręcano raz na 14 dni wybijał godziny i kwadransy. W XVII w. wyrabiano zegarki w Bieczu, Jarosławiu i Krośnie.

Z początkiem XIX w. szeroko słynęły wyroby złotników głogowskich. Sława tych wyrobów sięgała poza teren Polski aż podobno do Niemiec pod nazwą „rzeszowskiego złota”, ponieważ go najwięcej w Rzeszowie sprzedawano. Podobno nie było to złoto a tombak (metal zawierający 90 proc. miedzi, a 10 proc. cynku, a cza sem trochę cyny, barwy czerwonej, przypominającej trochę złoto).

Huty szklane istniały w XVIII w. w Krępnie koło Zmiogrodu, w Lubaczowie, a z początkiem XIX w. w Borownicy w sanockim, koło Niska, w rzeszowskim.

W Olpinach (pow. Jasło) oraz w Zarzeczcu (pow. Jarosław) wyrabiano ser limbinski, a w Płonnej sery owcze. Przeworski, który został założony w 1393 r. znany był w XVIII wieku z tkactwa. Pracowało tam około 900 tkaczy, których wyroby były wywożone na Węgry, w Rosję, do Anglii, do Ameryki, do Francji, do Londynu we Francji, z które-

go kupiec był stale na miejscu dla czynienia zakupów.

Zapisek urzędowy w aktach miejskich z 1786 r. podaje, że w Przeworsku majstrów różnych rzemiosł było w tym czasie 475 i 766 czeladzi.

Wiele jeszcze innych miast ziemi rzeszowskiej słynęło szeroko z różnego rodzaju rzemiosł, które stopniowo zanikały i podupadały w wyniku konkurencji kapitalistycznej, w wyniku rabunkowej gospodarki rodzimych i zagranicznych kapitalistów. Oto co o upadku rzemiosła pisze Szczepanowski w książce pt.: „Nędza Galicji” wydanej w 1888 r.

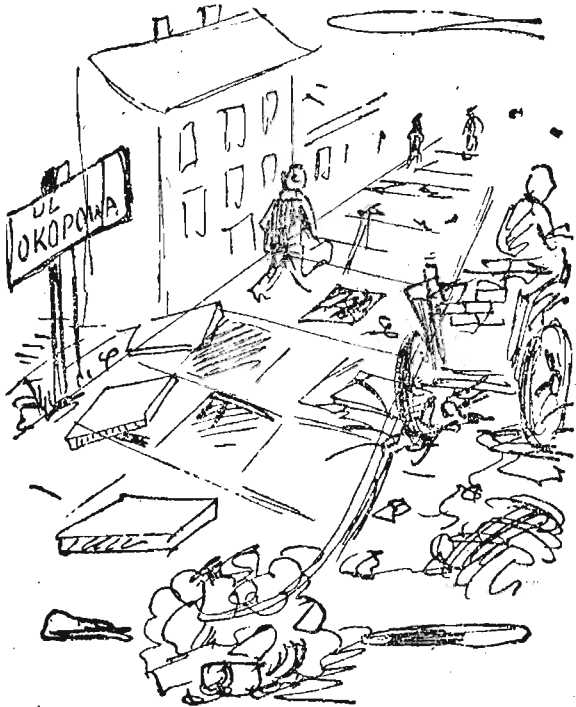
„Co do rzemiosł zwyczajnych, to z wyjątkiem Lwowa i Krakowa stan ich jest opłakany. Konkurencja tandety zagranicznej, brak własnej organizacji, niewystarczające wykształcenie fachowe, zresztą ubóstwo ludu wiejskiego i brak pokupu — wszystko się razem skupia do wytworzenia coraz to bardziej beznadziejnej pozycji dla naszego małopolskiego rękodzielnictwa”.

Dzisiaj kiedy toczy się walka o coraz pełniejsze i lepsze zaspokojenie stale rosnących potrzeb materialnych człowieka, rzemiosło ma duże możliwości rozwoju zarówno — rzemiosło spółdzielcze jako wyższa forma organizacyjna pracy — jak i rzemiosło indywidualne.

FRANCISZEK GRABOWSKI

WARSZĄCIE ONIOTY

W kwietniu



mieszkańcy ulicy Jagiellońskiej i Okopowej w Łańcutcie łudzą się co roku, że troska MRN o wygląd tych ulic nie ograniczy się tylko do miesiąca czystości. I co roku przyskają te złudzenia równo z ostatnim dniem kwietnia. Miła miesiąc czystości i o m i j a ją te ulice wszyscy z MRN.

Adam Ochocki

Klientka

Ludzi w sklepie zebrało się sporo. Wiadomo — sobota, trzeba zrobić zakupy na dwa dni. Ale załatwianie klientów odbywało się składowo. Szybko migaly noże, którymi ekspedientki kroily smaczną kę, połgdwicę, baleron. Szybko przesuwał się waz ludzki. Wtem weszła nowa klientka. Wymylnawszy zrecznosc wybrzuczoną kolejkę, kocim ruchem otarła się o ladę i ni to do ekspedientki, ni to do obecnych powiedziała:

— Bardzo przepraszam, ale ja tylko na moment wyskoczyłam z biura. Chciałam kupic kilka deko wędliny na bułeczkę. Człowiek ma tyle pracy, tak się ciągle spieszy. Że nawet śniadania nie zdąży zjeść w domu...

Ekspedientka spojrzala pytająco na klientkę, klientki kiwnęły z aprobatą głowami.

— Patrzcie państwo, jak to teraz w tych biurach męczą naród — westchnęła obywatelka z rasowym pinczerkiem na smyczy. — Na czczo człowiek musi ganiać do roboty...

Gdy ekspedientka w równiu kic plasterki szatkowała wędlinę, klientka z wyraźną lubością lustrowała wiszący na hakach towar i aż klasnęła w dłonie z zachwytem:

— Ach, jaką piękną słoninkę macie w sklepie! A mięso — pycha! Niechże mi pani przy okazji odważy ze dwa kilo tej słoniny i ze trzy mięsa. Tylko bez kości, moja złociutka, bo to na pieczeń!

Obywatelka z pinczerkiem na smyczy zatrzepotała nerwowo powiekami. W sklepie rozległy się szmery:

— Patrzcie tylko na tego gło domora...

— Na waleta się wtrącała i pół sklepu wykupuje...

— Niech pani jej nie sprzedaje!

Klientka spojrzala wyniośle na sarkających i poprosila ekspedientkę, żeby jej dowazyła jeszcze kilo wolowiny na rosół.

W sklepie powstał nieopisany rwetes. Pani z pinczerkiem uznała, że pora i jej zabrac głos, więc poczęła energicznie machać smyczą kolo nosa natrętki, aż biedny psiak zaskowytal z bólu. Na odgłos awantury przybiegła z sąsiedniego

pomieszczenia kierowniczką sklepu, a wysłuchawszy co się stało, zadecydowała:

— Pani pójdzcie do kolejki. Co innego kilka deko wędliny na bułkę, a co innego normalny sprawunek gospodarski...

— Do kolejki?! — oburzyła się klientka. — To jak ja już sioję przy ladzie, mam specjalnie wychodzić i zajmować miejsce w rządku? A co to za biurokracja, proszę ja kogo? Gdzie jest księżka zażaleń? Ja wam wszystkim pokażę — zapowiedziała ze straszonym grymasem na twarzy.

Czy doszło do spełnienia groźby — kronika książki milczy. Przypuszczając jednak należy, że raczej nie.

Bo klientki mieli lepsze widoki do oglądania: świeżutkie szynki na ladzie wyglądały o wiele bardziej pociągająco...

Opiekun „sportu“

Cztery kamienice ob. Mieczysława Witkowskiego zdobywają — jego zdaniem — miasto Dynów jednym się podobają, drugim nie. Nam najwięcej podoba się ich właściciel, i nie bez podslaw. Jest on prawdziwym opiekunem młodzieży.

Na swoich 4 ha ziemi stara się o stworzenie młodym chłopcom dogodnych warunków wypoczynku i zabawy. Niewątpliwie czytelników zainteresują te, różnego rodzaju, zawody sportowe, organizowane przez ob. Witkowskiego i dlatego podajemy szczegółowy opis niektórych dyscyplin:

Marsz za koniem na przełaj. Konkurencja rozgrywana jest na czas. Zawodnik zaopatrzony w specjalny sprzęt sportowy (plug i parę koni) staje na wyznaczonym obszarze ziemi. Ob. Witkowski używając słońca jako startera, daje znak i konkurencja się zaczyna. W miarę jak czas przeznaczony na zawody upływa i słońce zbliża się ku zachodowi, zawodnik, na przykład Marian Potoczny przyspiesza tempo, mocniej przykładając się do sprzętu sportowego, uwzględniając wskazówki trenera — ob. Witkowskiego, który dba o osiągnięcie jak najlepszych wyników.

Inna konkurencja: szermierka kosą. W tej dyscyplinie sportowej potrzebny jest mniej skomplikowany sprzęt, wystarcza kosa podobna do tej, jaką ludzie nie mający zrozumienia dla kultury fizycznej używają w czasie żniw. Konkurencja ma następujący przebieg: zawodnik ćwiczy ciecicia, szyćchy, ciosy na życie, pszenicy, owies itd. Trafienia, w oparciu o specjalną tabelę szermierczą, opracowaną przez ob. Witkowskiego, przelicza się na ilość snopków, które debydują o uzyskanych wynikach.

Z innych zabaw sportowych należy wymienić: rzut kartoflem do kosza — ćwiczenie wyrabiające zrecznosc, nader chętnie organizowane przez ob. Witkowskiego w czasie wykopków ziemniaków, czy też wyrabiające siłę dźwignia gnój na widłach — konkurencja organizowana przez cały rok.

Pisząc o zamiłowaniu ob. Witkowskiego do krzewienia kultury fizycznej, trzeba podkreślić jeszcze jedną dodatnią cechę jego charakteru: opiekę

jaką otacza on trenujących na jego terenach młodych sportowców. Oto Marianowi Potoczemu i Zygmuntovi Hadamowi nie tylko umożliwił kilkumiesięczną zaprawę sportową w ubiegłym roku, ale, co więcej, Potoczny otrzymał za ten okres ubranie cajtrowe wartości 100 zł i kalesony za 23 zł. Nie wiadomo czym został obdarowany ob. Hadam i inni.

Mamy wątpliwości czy ob. Witkowski tak hojnymi darami nie zepsuje sportowców trenujących u niego. Prosimy Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Brzozowie o wglądnięcie w sprawę tych niezwykle podarunków i otoczenie dynowskiego krzewiciela kultury fizycznej należyta opieką.

Antoni Krystin Reformacki

Rada Bernarda Shaw

Młody człowiek zmusił Bernarda Shaw do wysłuchania napisanego przez niego dramatu. Gdy skończył, Shaw zapytał go:

— W jaki sposób wpadł pan na pomysł napisania tej sztuki?

— Właściwie studiowałem medycynę, ale po czterech semestrach postanowiłem działać dla dobra ludzkości jako poeta i przerwałem studia medyczne.

— Ha — poradził Shaw — w takim razie może pan teraz spokojnie przerwać też i pisanie. Wyrzekając się studiów medycznych zdziałał pan już dostatecznie wiele dla dobra ludzkości.

Wiedział

Pewna kobieta nabyła małe, „podrózne“ żelazko elektryczne które nazajutrz już odmówiło posłuszeństwa. Odnosi je do sklepu z reklamacją. Sprzedawca pyta ją podejrzliwie:

— Co pani robiła z tym żelazkiem, że się tak od razu posuło.

— Prasowałam...

— No właśnie, podejrzewałem o to — rzekł sprzedawca z westchnieniem.

Palenie bóstwa

Gdy pewnego razu Mark Twain zachorował i musiał pozostać w łóżku, lekarz zabronił mu jak najsurowiej palenia papierosów. Gdy jednak przyszedł z następną wizytą ujrzał pisarza w kłębach dymu.

— A więc znowu hoduje pan swemu bóstwu? — zawołał lekarz.

— Tak, lecz widzi pan, doktorze, że właśnie palę moje bóstwo.

Zdrowszy bigos

Rozmawia dwu kierowników gospód.

— Jednakże nasz bigos jest o wiele zdrowszy od waszego.

— Dlaczego?

— Bo dajemy mniejsze porcje.

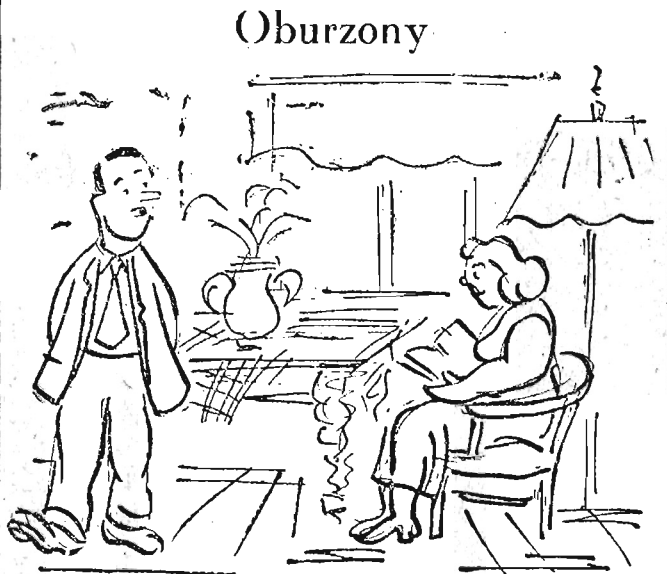
Tadeusz Gicgier

Swoista pracowitość

Mówią o typie tym wprost, bez osłony — wzór największego tu pod słońcem lenia. W jednej jest tylko kwestii niestrudzonej, a mianowicie — w kwestii biadolenia.

Matka „pobłażliwa“

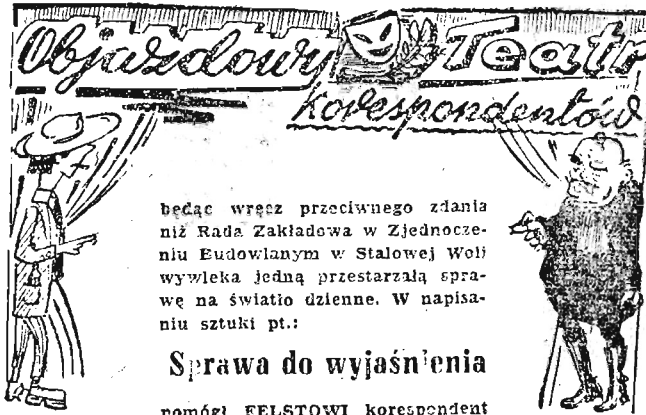
Na wszystko pozwalala mu mama kochana: „On wyrośnie...“ — I wyrósł, lecz ...na chuligana.



— Wyobraź sobie! Mnie pracownikowi Wydziału Drogowego przy Prezydium PEN w Przeworsku zaproponowano przeprowadzenie remontu mostku w gromadzie Grzeska.

— Odmówiłeś?

— Naturalnie. Nie wypada, żadną miarą nie wypada zajmować się takimi drobnostkami.



bedąc wręcz przeciwnego zdania niż Rada Zakładowa w Zjednoczeniu Budowlanym w Stalowej Woli wywieka jedną przestarzałą sprawę na światlo dzienne. W napisaniu sztuki pt.:

Sprawa do wyjaśnienia

pomógł FELSTOWI korespondent RUDOLF BALON.

Występują: I PRACOWNIK
II PRACOWNIK
III PRACOWNIK
PRZEWODNICZĄCY RADY
SEKRETARZ RADY

ODSŁONA I

Wrzesień 1953. W Radzie Zakładowej w Zjednoczeniu Budowlanym w Stalowej Woli.

PRZEWODNICZĄCY: A więc mówicie, że żaden Iksiński i Igrekowski z wami nie robili. Jak to było powiedzcie dokładnie.

PRACOWNIK I: Przyszliliśmy w dniu wypłaty do kasy i podpiliśmy listę. Ja wziąłem 1.360 zł, innym też tak wypadło. Przeglądaliśmy listę czy zaliczyli mi wszystkie roboty, patrzę i oczom nie wierzę. Na liście stoi wyraźnie: Brygada Sobocińskiego — Iksiński 1.439 zł.

Pytam się kasjera czy nie pokrecono coś bo robimy w brygadzie Sobocińskiego i Iksińskiego nie znamy. Kasjer powiedział, że lista dobra, skontrolowana przez brygadzie. Nie było zresztą czasu dużo mówić, bo ludzie się pchali, zwyczajnie jak przy wypłacie. Powiedziałem chłopakom później o tym co zauważyłem i oni też potwierdzili, że tak było.

SEKRETARZ RADY: A Igrekowski skąd się wziął?

PRACOWNIK II: Skąd to ja nie wiem. Wtem tyle, że pod moim nazwiskiem było napisane Igrekowski. Miał do wypłaty 1.513 zł.

PRACOWNIK III: Pytaliśmy się po budowie czy nie znamy takich. Nikt ich nie znał. Sobociński zaś powiedział, że to nie nasze sprawy i żebyśmy się nie wtrącali do tego. To tyle. Acha! Jeszcze jedno. Sobociński mówił, że to uzgodnione.

PRZEWODNICZĄCY: My to zaraz zbadamy i do 6 dni otrzymacie należne waszej brygadzie pieniądze.

ODSŁONA II

W 6 dni po rozmowie w radzie zakładowej.

PRACOWNIK I: Wolali nas do kasy?

PRACOWNIK II: Do jakiej kasy? Przecież dzisiaj nie ma wypłaty.

PRACOWNIK III: Ale ty masz pamięć! Chodzi o wyrównanie za tych dwóch, co niby pracowali w naszej brygadzie.

PRACOWNIK II: Nie, nie było nikogo. Swoją drogą warto przypomnieć radzie. Milicja była, przesłuchiwała nas w tej sprawie i nic. Sobociński zły jak piorun. Prawie 3 tysiące uciekło mu sprzed nosa. Po robocie pójdziliśmy jeszcze raz do rady.

ODSŁONA III

Marzec 1954 r.

PRACOWNIK I: Nie wolali nas do kasy?

PRACOWNIK II: Do jakiej kasy? Przecież wypłata była przedwczoraj.

PRACOWNIK III: Ty nigdy nie nie pamiętasz. On mówi o tym wyrównaniu, co mieliśmy dostać jeszcze w ubiegłym roku. Za tych, co ich Sobociński powstawił na listę płac.

PRACOWNIK II: Tak, tak, przypominam sobie. No cóż, spytamy się jeszcze raz w radzie.

ODSŁONA IV

W radzie zakładowej.

PRACOWNIK I: My towarzyszu przewodniczący byliśmy już tutaj nieraz, więc nie trzeba znowu od początku.

PRZEWODNICZĄCY: Wiele, gorsza sprawa, bo Sobociński delegowany do Nowej Huty. Nie wiadomo jak to było naprawdę, może wam się zdawało. Po tylu miesiącach trudno sprawdzić. Sobociński nie wyglądał mi na takiego co by robił jakieś machlojki. Prawda sekretarzu?

SEKRETARZ: Naturalnie. Sobociński to porządny człowiek. Pomyliliście się.

PRACOWNIK II: Przecież widzieliśmy było wyraźnie Iksiński i Igrekowski.

SEKRETARZ: Zdawało się wam i tyle. Człowiek mylił się często.

KURTyna.

Tak miała wyglądać... a tak wygląda



chłodnia w Kolbuszowej, której budowę rozpoczynano dwukrotnie od 1951 roku.

Wystarczy, że w Prezydium MRN w Kolbuszowej znajdują się plany. Widocznie chłodzą one zapal do dalszej budowy.